

O pieniądzu

Autor: **Murray Rothbard**

Źródło: mises.org

Tłumaczenie: **Witold Falkowski**

Pieniądz ma decydujący wpływ na każdą gospodarkę i, co za tym idzie, na każde społeczeństwo. Życie społeczne opiera się na systemie dobrowolnych wymian, który jest nazywany „gospodarką wolnorynkową”. Te wymiany wiążą się z podziałem pracy. Producenci jajek, gwoździ, koni, tarcicy oraz ci, którzy dostarczają usług niematerialnych, takich jak nauczanie, opieka zdrowotna, czy występy muzyczne, wymieniają między sobą produkty i usługi. Na każdym etapie tej wymiany wszyscy jej uczestnicy odnoszą olbrzymie korzyści, ponieważ gdyby każdy z nich miał być samowystarczalny, to albo by nie przetrwał, albo by musiał się zadowolić żałośnie niskim standardem życia.

Bezpośrednia wymiana towarów i usług, nazywana też „barterem”, jest, poza najbardziej prymitywnym poziomem rozwoju, bardzo niewydajna. Wszystkie plemiona „pierwotne” szybko odkrywały ogromne korzyści, jakie daje wybór jednego towaru, na który jest ogólne zapotrzebowanie, i uczynienie go „pośrednikiem wymiany”. Jeżeli w danej społeczności jakiś towar jest powszechnie stosowany jako towar pośredniczący w wymianie, to nazywamy go „pieniądzem”.

Towar-pieniądz staje się elementem wspólnym dla wszystkich niezliczonych transakcji zawieranych w gospodarce rynkowej. Jako nauczyciel sprzedaję za pieniądze swoje usługi; zarobionych pieniędzy używam, żeby zapłacić za żywność, maszynę do pisania, zakwaterowanie w czasie podróży. Z kolei producenci tych towarów robią użytek z moich pieniędzy, płacąc swoim pracownikom, kupując sprzęt i zapasy, opłacając czynsz za wynajęcie budynków. Dlatego różne grupy stają wciąż na nowo wobec pokusy, żeby przejąć kontrolę nad podażą pieniądza.

Jako pieniądza używano różnych użytecznych towarów. W Afryce - soli, na Karaibach - cukru, w koloniach w Nowej Anglii - ryb, w koloniach regionu Chesapeake Bay - tytoniu. Pieniądzem mogły też być muszelki kauri, żelazne motyki oraz wiele innych towarów. Pieniądze służą nie tylko jako środek

wymiany, lecz umożliwiają także poszczególnym osobom i przedsiębiorstwom dokonywanie „obliczeń” niezbędnych w każdej zaawansowanej ekonomii. Różne rodzaje pieniędzy wymienia się i wycenia w jednostkach, najczęściej wagowych. Wartość tytoniu podawano w funtach wagowych. Ceny innych towarów i usług mogły być podawane w funtach tytoniu. Koń mógł być wart na rynku 80 funtów tytoniu. Przedsiębiorstwo mogło obliczyć swoje zyski lub straty w danym miesiącu. Mogło ustalić, że jego przychód za ten miesiąc wyniósł 1.000 funtów a wydatki 800 funtów, czyli czysty zysk - 200 funtów.

Złoto czy papiery rządowe

Z biegiem czasu okazało się, że dwa towary nadają się na pieniądź lepiej niż jakiegokolwiek inne dobra. Były to dwa metale szlachetne: złoto i srebro (oraz miedź, wykorzystywana, gdy jeden z tych dwu metali nie był dostępny). Złoto i srebro miały mnóstwo właściwości, które można by nazwać „zaletami pieniężnymi” i dzięki którym nadawały się na pieniądze lepiej niż jakiegokolwiek inny towar. Ich niska podaż powoduje, że mają stabilną cenę, a jednostka ich wagi ma wysoką wartość. Dlatego też kawałki złota i srebra łatwo jest przetransportować i można je wykorzystywać w codziennych transakcjach. Metale te są wystarczająco rzadkie, żeby małe było prawdopodobieństwo nagłego odkrycia ich złóż czy zwiększenia podaży. Nie ulegają niszczeniu, więc mogą przetrwać praktycznie wieczność i dzięki temu można je gromadzić jako „zapas wartości” na przyszłość. Złoto i srebro dają się też łatwo dzielić na mniejsze porcje. Można je dzięki temu dzielić na małe kawałki, nie umniejszając ich wartości. W przeciwieństwie, na przykład, do diamentów, metale szlachetne są jednorodne i jedna uncja złota ma taką samą wartość jak każda inna.

Pierwszy wielki teoretyk pieniądza, wybitny czternastowieczny francuski scholastyk Jean Buridan zwrócił uwagę na fakt, że złoto i srebro od czasów starożytnych były powszechnie używane jako pieniądź. Od tej pory podnoszono ten temat we wszystkich dyskusjach o pieniądzu, w podręcznikach dotyczących finansów i bankowości. Tak się działo aż do momentu, kiedy na początku lat trzydziestych XX w. rządy państw zachodnich zniosły standard złota. W 1933 roku to samo zrobił Franklin D. Roosevelt w Stanach Zjednoczonych, uniezależniając amerykańską walutę od parytetu złota.

Żaden inny aspekt wolnego rynku nie stał się obiektem tylu szyderstw i lekceważących uwag, co złoto. Ich autorami są „nowocześni” ekonomiści,

zarówno zagorzali etatystyczni keynesiści, jak i uważani za „wolnorynkowców” przedstawiciele szkoły chicagowskiej. Złoto, jeszcze nie tak dawno uchodzące za podstawę i wstępny etap każdego zdrowego systemu monetarnego, jest teraz zwykle nazywane „fetyszem” lub, jak u Keynesa, „barbarzyńskim reliktem”. Złoto rzeczywiście jest w pewnym sensie „barbarzyńskim reliktem”. Żaden „barbarzyńca” z prawdziwego zdarzenia nie przyjąłby nigdy zapłaty w lipnych papierach czy kredytach bankowych, w których używanie jako pieniądza, my - nowocześni światowcy - daliśmy się zrobić.

Ale „fanatycy złota” nie są fetyszystami; nie pasujemy do typowego wizerunku chichoczących złowieszczo skąpców, którzy przeczesują palcami skarbiec pełen złotych monet. Zaletą złota jest to, że tylko ono jest pieniądzem dostarczoną przez wolny rynek, przez pracę rąk ludzkich. Odwieczny bowiem dylemat, przed jakim stoimy, brzmi następująco: albo złoto (względnie srebro), albo rząd. Złoto jest pieniądzem rynkowym, towarem, który musi zostać wydobyty z ziemi i przetworzony. Tymczasem rząd produkuje papierowe pieniądze i czek bankowe praktycznie z niczego i nie ponosząc prawie żadnych kosztów.

Jak wiadomo, działania rządu są naznaczone marnotrawstwem, niewydajnością i służą raczej urzędnikom niż konsumentom. Czy wolelibyśmy, żeby buty produkowane były przez prywatne firmy konkurujące na wolnym rynku, czy przez gigantyczny monopol rządu federalnego? Z zadaniem dostarczania pieniędzy rząd poradziłby sobie nielepiej. Jednakże w przypadku pieniędzy sytuacja jest o wiele poważniejsza, niż gdy chodzi o buty czy jakiegokolwiek inny towar. Buty produkowane przez rząd można ostatecznie nosić, nawet jeśli są drogie, źle dopasowane i nie trafiają w upodobania konsumentów.

Pieniądz różni się od wszystkich pozostałych towarów. Zwiększenie ilości butów, ropy naftowej czy miedzi jest korzystne dla społeczeństwa, ponieważ zmniejsza naturalne braki. Ale kiedy dany towar zostanie już raz ustanowiony jako pieniądz, nie potrzeba go wcale więcej. Ponieważ pieniądz jest wykorzystywany tylko do wymiany i rozliczeń, to zwiększenie ilości dolarów, funtów czy marek w obiegu nie może przynieść społecznych korzyści: obniży po prostu siłę nabywczą każdego dolara, funta czy marki. Całe więc szczęście, że złoto czy srebro są dobrami rzadkimi i zwiększenie ich podaży jest kosztowne.

Jeśli jednak rząd wprowadzi papierowe kwity lub kredyt bankowy jako pieniądz, jako ekwiwalent gramów czy uncji złota, wtedy może on jako główny dostawca pieniędzy dowolnie i bez żadnych kosztów stwarzać pieniądze. W rezultacie ta

„inflacja” podaży pieniądza niszczy wartość dolara czy funta, powoduje wzrost cen, zniekształca rachunek ekonomiczny, krępuje i poważnie zaburza funkcjonowanie systemu gospodarki rynkowej.

Gdy rząd ma już kontrolę nad pieniądzem, wykazuje naturalną skłonność do wywoływania inflacji i podkopywania wartości waluty. Żeby zrozumieć tę prawdę, musimy przyjrzeć się naturze rządu i mechanizmowi kreacji pieniądza. Rządy zawsze cierpiały na chroniczny brak dochodów. Przyczyna tego stanu rzeczy wydaje się oczywista: w przeciwieństwie do każdego z nas, rządy nie produkują użytecznych dóbr ani usług, które mogłyby zostać sprzedane na wolnym rynku; zamiast tego utrzymują się z pasożytowania na rynku i społeczeństwie. W przeciwieństwie do innych osób czy instytucji, rząd czerpie swoje dochody z przymusu, z opodatkowania. W dawniejszych i rozsądniejszych czasach król był w stanie zapewnić sobie wystarczający dochód z produktów swoich prywatnych pól i lasów oraz z myta pobieranego na drogach. Odwiecznym celem państwa było wywalczenie sobie prawa do stałego opodatkowania w czasie pokoju. Ale nawet kiedy już wprowadzono podatki, królowie zdawali sobie sprawę, że nie mogą dowolnie nakładać nowych podatków ani podwyższać już istniejących, bo wzbudzało to nastroje rewolucyjne.

Kontrola podaży pieniądza

Co można zrobić, gdy wpływy z podatków wciąż nie pokrywają projektowanych przez państwo wydatków? Można przejąć kontrolę nad podażą pieniędzy, lub - mówiąc wprost - zacząć je fałszować. W gospodarce rynkowej można wejść w posiadanie prawdziwych pieniędzy, wyłącznie sprzedając towar czy usługę za złoto lub otrzymując podarunek. Jedynym innym sposobem zdobycia pieniędzy jest zaangażowanie się w kosztowny proces wydobywania złota z ziemi. Fałszerz natomiast jest złodziejem, który próbuje się wzbogacić na podrabianiu pieniędzy, tzn. malując kawałek mosiądzu w taki sposób, by wyglądał jak złota moneta. Jeśli jego fałszerstwo zostaje wykryte natychmiast, szkody są minimalne. Jeśli jednak fałszerstwo pozostaje niezauważone przez dłuższy czas, to fałszerz okrada nie tylko producentów, od których kupuje towary, lecz także każdego obywatela. Każdemu bowiem zabiera część wartości jego pieniędzy. Zmniejszając wartość każdej uncji lub dolara prawdziwych pieniędzy, fałszerz dokonuje kradzieży groźniejszej i bardziej wyrafinowanej, niż rozbójnik wymuszający okup

na drodze. Okrada on bowiem każdego członka społeczeństwa w sposób podstępny i niewidoczny, tak że relacja przyczynowo-skutkowa pozostaje ukryta. Ostatnio gazety straszyły tytułami: „Irański rząd próbuje zniszczyć gospodarkę USA fałszując banknoty studolarowe”. Wątpliwe, żeby ajatollahowie stawiali sobie aż tak ambitne cele; fałszerze nie potrzebują wyższych uzasadnień, by kraść drukując pieniądze. Każde jednak fałszerstwo jest w istocie działalnością wywrotową, niszczycielską i powoduje wzrost inflacji. Jak jednak mamy zareagować, gdy rząd przejmuje kontrolę nad podażą pieniądza, znosi złoto jako pieniądz, a jako jedyną walutę wprowadza drukowane przez siebie kwity? Co mamy powiedzieć, kiedy rząd staje się zalegalizowanym, monopolistycznym fałszerzem?

Nie dość, że mamy tu do czynienia z fałszerstwem, to wielki fałszerz, którym w Stanach Zjednoczonych jest System Rezerwy Federalnej, czczony jest jako mądry moderator i zarządca amerykańskiej „makroekonomii”, jako urząd, strzegący nas przed recesjami i inflacjami, ustalający stopy procentowe, podstawowe ceny i poziom zatrudnienia. Tymczasem powinien być napiętnowany jako wielki złodziej i wandal. Prezesa Banku Rezerwy Federalnej, czy będzie nim imponującej postury Paul Volcker czy podobny do sowy Alan Greenspan, zamiast obrzucić pomidorami i zgniłymi jajkami, uznaje się powszechnie za człowieka niezastąpionego dla systemu gospodarki i finansów.

By poznać i zrozumieć tajemnice nowoczesnego systemu monetarnego i bankowego, najlepiej uświadomić sobie, że rząd i jego bank centralny działają dokładnie tak, jak działałby wielki fałszerz i powodują podobne skutki społeczne i ekonomiczne. Dawno temu, w czasach kiedy dowcipy zamieszczane na jego łamach były jeszcze śmieszne, magazyn New Yorker opublikował rysunek, na którym grupa fałszerzy patrzy z przejęciem na maszynę drukarską, z której schodzi pierwszy banknot dziesięciodolarowy. „O rany”, mówi jeden z nich, „ale lokalne sklepy dostaną zastrzyk!”

I dostają. W miarę jak fałszerze drukują nowe banknoty, coraz więcej pieniędzy idzie na to, co jest im potrzebne: zarówno na towary, które kupują dla siebie, jak i - w przypadku rządu - na pożyczki i inne cele związane z „dobrem publicznym”. Ale wynikający z tego „dobrobyt” jest iluzoryczny. Jedynym rezultatem jest zwiększenie zakupów i, co za tym idzie, wzrost cen. Ponadto, fałszerze i pierwsi odbiorcy nowych pieniędzy sprzątają towary sprzed nosa biednym frajerom, którzy są na końcu kolejki po nowe pieniądze, lub którzy nigdy ich nie dostaną.

Nowe, wstrzykiwane do gospodarki pieniądze, wywołują nieuchronnie efekt powracającej fali; pierwsi odbiorcy nowych pieniędzy wydają więcej, podbijając ceny. Następni użytkownicy nowych banknotów i ci, którzy mają stałe płace, nagle się orientują, że ceny towarów, które muszą kupić, z niewyjaśnionych przyczyn rosną, podczas gdy ich własne dochody zmniejszają się, lub pozostają niezmiennione. Innymi słowy, inflacja monetarna nie tylko powoduje wzrost cen i obniżenie wartości waluty, lecz także działa jak gigantyczny system wywłaszczenia końcowych odbiorców przez samych fałszerzy lub innych wczesnych odbiorców. Ekspansja monetarna pełni rolę potężnego systemu ukrytej redystrybucji.

Kiedy fałszerzem jest rząd, fałszerstwo zostaje nie tylko „zauważane”, lecz ogłoszone wszem i wobec jako opatrnościowe zabiegi w sferze monetarnej, czynione dla dobra publicznego. Ekspansja monetarna staje się więc gigantycznym systemem ukrytego opodatkowania. Podatek zostaje nałożony na grupy ludzi o stałym dochodzie, na grupy oddalone od wydatków i dotacji rządowych oraz na zapobiegliwych ciułaczy, którzy są na tyle naiwni i ufni, że nie rozstają się z pieniędzmi, wierząc w wartość waluty.

Wydawanie pieniędzy i zaciąganie kredytów są nagradzane, oszczędność zaś i ciężka praca - karane. Nie dość na tym: beneficjentami są członkowie specjalnych grup interesu, politycznie bliskich rządowi. Mogą oni wywierać naciski, żeby nowe pieniądze wydawane były na nich i żeby dzięki temu ich dochody mogły rosnać szybciej niż ceny. Firmy wykonujące zamówienia rządowe, przedsiębiorcy z politycznymi koneksjami, związki zawodowe i inne grupy nacisku będą odnosiły korzyści kosztem nieświadomego i niezorganizowanego społeczeństwa.

* * * * *

Przedstawiliśmy już jeden aspekt ucieczki od zdrowego pieniądza wolnorynkowego do pieniądza etatystycznego i inflacyjnego. Było nim odejście od standardu złota, zarządzane przez Franklina Roosevelta w roku 1933 i wprowadzenie przez Rezerwę Federalną pustych kwitów bez pokrycia jako „standardu monetarnego”. Drugim czynnikiem tego procesu była kartelizacja banków na poziomie federalnym i utworzenie Systemu Rezerwy Federalnej w roku 1913.

Bankowość stanowi szczególnie tajemniczą dziedzinę systemu gospodarczego. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest to, że słowo „bank” oznacza bardzo różne zjawiska. W epoce Renesansu „bankierami” byli Medyceusze we Włoszech i Fuggerowie w Niemczech. Ich banki były nie tylko prywatne, ale - przynajmniej z początku - prowadziły wysoce pożyteczną, nie-inflacyjną działalność. Właściwie były to „banki kupieckie”, a ich założyciele byli wybitnymi kupcami. Na marginesie swojej działalności handlowej prowadzili rozbudowaną politykę kredytową wobec swoich klientów i w końcu - w przypadku tych dwu rodzin - działalność typu „bankierskiego” stała się ich głównym zajęciem, odsuwając handel na dalszy plan. Ich firmy pożyczają pieniądze, pochodzące z własnego zysku lub oszczędności i pobierały procent od kredytu. Były to więc instytucje zajmujące się kierowaniem własnych oszczędności na opłacalne inwestycje.

Banki, które pożyczają własne oszczędności, albo mobilizują oszczędności innych, prowadzą działalność pożyteczną i nie budzącą sprzeciwu. Nawet teraz, korzystając z usług banków komercyjnych, mogę kupić za 10000 dolarów certyfikaty depozytowe z sześciomiesięcznym terminem wykupu i zarobić pewien ustalony procent. Pożyczam bankowi swoje oszczędności, on z kolei pożyczka je komuś innemu na jeszcze wyższy procent. Różnica między oprocentowaniem stanowi wynagrodzenie banku za przekazanie oszczędności w ręce godnych zaufania, lub gwarantujących trafną inwestycję pożyczkobiorców. To postępowanie nie budzi żadnych zastrzeżeń.

Podobnie jest w przypadku wielkich „banków inwestycyjnych”, które rozwinęły się wraz z rozkwitem kapitalizmu przemysłowego w dziewiętnastym wieku. Właściciele banków inwestycyjnych przeznaczali własny kapitał, albowiem kapitał zainwestowany lub pożyczony przez innych, na zabezpieczenie inwestycji korporacji, która zbierała fundusze sprzedając papiery wartościowe udziałowcom i pożyczkodawcom. Kłopot z bankami inwestycyjnymi polega na tym, że jedną z głównych dziedzin, w które inwestują, są obligacje rządu. To wciągnęło je w politykę, dając potężny bodziec do wywierania nacisków na rząd i sterowania nim tak, by wprowadzone zostały podatki. Z tych podatków bowiem miały być spłacone zobowiązania ich klienta - rządu. Tak właśnie się narodził potężny i zgubny wpływ polityczny właścicieli banków inwestycyjnych w dziewiętnastym i dwudziestym wieku: przede wszystkim Rotszyldów w Europie Zachodniej i Jaya Cooka oraz domu Morganów w Stanach Zjednoczonych.

Pod koniec dziewiętnastego wieku Morganowie przewodzili grupie nacisku, domagającej się od rządu skartelizowania gałęzi gospodarki, którymi byli zainteresowani, a więc kolei i produkcji przemysłowej. Chodziło o ochronę przed konkurencją i wprowadzenie odgórnych ograniczeń na produkcję oraz podniesienie cen.

W szczególności właściciele banków inwestycyjnych utworzyli grupę nacisku dążącą do skartelizowania banków komercyjnych. Pożyczki udzielane przez niektóre banki komercyjne były oparte o ich własny kapitał oraz o pieniądze pochodzące ze sprzedaży certyfikatów depozytowych. Ale większość banków komercyjnych, to „banki depozytowe”, których działalność opiera się na gigantycznym przekręcie: na przekonaniu większości klientów, że ich pieniądze złożone w banku czekają na nich i będą im wypłacone na każde żądanie. Jeśli Jim na rachunku bieżącym w banku lokalnym ma 1000 dolarów, to myśli, że stanowią one „depozyt płatny na żądanie”, to znaczy, że bank przyrzekł mu wypłacić 1000 dolarów w gotówce w dowolnym momencie, w którym Jim zechce „swoje pieniądze wycofać”. Wszyscy Jimowie na całym świecie są święcie przekonani, że pieniądze, które złożyli w banku czekają tam na nich bezpieczne, gotowe do wypłacenia na każde żądanie. Wyobrażają sobie rachunek bieżący w banku niczym kwit z przechowalni. Jeśli przed podróżą zostawili na przechowanie krzesło, to oczekują, że będzie im ono wydane, gdy wrócą i przedstawią pokwitowanie. Niestety, jeśli potraktować banki jako rodzaj przechowalni, to widać, że ich klienci są systematycznie oszukiwani. Pieniądzy, które złożyli w banku, bank nie ma.

Uczciwa przechowalnia robi wszystko, by powierzone swojej opiece przedmioty składować bezpiecznie w magazynie lub w podziemiach. Współczesne banki działają jednak zupełnie inaczej. Jeszcze w siedemnastym wieku banki w Amsterdamie czy w Hamburgu działały jak przechowalnie i wszystkie pokwitowania, jakie wystawiały, miały pokrycie w przechowywanych aktywach, czyli w złocie i srebrze. Takie uczciwe przechowywanie depozytu, lub bankowość „rozliczeniowa”, nazywa się bankowością „ze stuprocentową rezerwą”. Od tamtego czasu banki notorycznie wydają pokwitowania magazynowe (początkowo noty bankowe - „bank-noty”, obecnie potwierdzenia depozytu) bez żadnego pokrycia. Zasadniczo rzecz biorąc, są fałszerzami pokwitowań magazynowych na gotówkę lub złoto. Pokwitowania te służą do regulowania zobowiązań, jakby były prawdziwymi, mającymi pełne pokrycie banknotami lub

rachunkami bieżącymi. Banki produkują pieniądze, stwarzając je dosłownie z niczego - obecnie na ogół w postaci potwierżeń depozytowych, a nie banknotów. Temu szwindlowi czy fałszerstwu nadaje się miano „systemu rezerw cząstkowych”, co oznacza, że depozyty bankowe mają pokrycie tylko w niewielkim ułamku. (W chwili obecnej minimalna rezerwa ustalona przez System Rezerwy Federalnej wynosi w USA 10 procent.)

System rezerw cząstkowych

Przyjrzyjmy się, w jaki sposób funkcjonuje zasada cząstkowych rezerw, gdy nie ma banku centralnego. Zakładam Bank Rothbarda i inwestuję w niego 1000 dolarów (obojętne czy w złocie czy w papierach rządowych). Teraz „udzielam pożyczki” w wysokości 10000 dolarów komuś, kto ich potrzebuje na swoje wydatki, lub inwestycję. Jak to jest możliwe, że „pożyczam” komuś znacznie więcej, niż mam? A, na tym właśnie polega magia „części” w cząstkowej rezerwie. Otwieram po prostu rachunek bieżący, na którym wpisuję 10000 dolarów, które z największą przyjemnością pożyczam panu Jonesowi. Dlaczego Jones pożycza ode mnie? Z tego prostego powodu, że oferuję niższe oprocentowanie kredytu, niż mogliby zaoferować ciułacze. Nie musiałem na te pieniądze zapracować: wystarczyło, że je sfalszowałem, wziąłem z powietrza. (W dziewiętnastym wieku mógłbym jeszcze wyemitować banknoty, teraz monopol na ich emisję ma Rezerwa Federalna.) Ponieważ potwierdzenia depozytów na żądanie funkcjonują jako równowartość pieniądza, to dzięki tym czarom, podaż pieniądza zwiększyła się właśnie o 10000 dolarów. Rozpoczął się proces inflacyjny.

Dziewiętnastowieczny ekonomista angielski, Thomas Tooke użył trafnego sformułowania, że „swobodny handel w bankowości oznacza swobodę handlowania szwindlem”. Jednakże w systemie wolnościowym, bez rządowego poparcia, ten fałszerski proceder lub „swobodna bankowość” podlega poważnym ograniczeniom. Po pierwsze: dlaczego ktokolwiek miałby mi zaufać? Dlaczego ktoś miałby przyjmować zapłatę czekami Banku Rothbarda? Po drugie, nawet gdybym zdobył zaufanie wśród naiwnych, to pozostaje poważna przeszkoda w postaci konkurencji, która może otwierać inne banki. Bank Rothbarda ma mimo wszystko ograniczoną ilość klientów. Jones, pożyczony ode mnie pieniądze w postaci potwierżeń depozytowych, wyda je. Po to przecież wydał na pożyczkę. Wcześniej lub później, pieniądze, które wydał, czy to na wakacje czy na rozwój

swojej firmy, trafią do klientów innego banku, powiedzmy Banku Rockwella. Bank Rockwella nie ma interesu w prowadzeniu konta czekowego dla mojego banku. Potrzebuje natomiast zwiększenia rezerwy, co pozwoliłoby mu budować własną piramidę fałszywych pieniędzy, opartą na rezerwie gotówkowej. Bank Rockwella przedstawia więc Bankowi Rothbarda czek na 10000 dolarów, żądając wypłacenia gotówki, która potrzebna mu jest do zwiększenia swoich rezerw. Ale ja, oczywiście, nie mam tych 10000 dolarów, więc jestem skończony. Bankrutuję. Powinienem z mocy prawa pójść do więzienia za defraudację, ale konkurentom wystarczy, że ja i moje fałszywe potwierdzenia depozytów wypadniemy z gry, że nie będę już uczestniczył w zwiększaniu podaży pieniądza.

A zatem, w warunkach wolnej konkurencji, bez wsparcia i zachęty ze strony rządu, fałszerstwo oparte na rezerwie częściowej będzie miało ograniczone rozmiary. Banki będą wprawdzie mogły tworzyć kartele w celu wzajemnego wspierania się, ale kartele w gospodarce wolnorynkowej nie działają sprawnie bez pomocy państwa, bez rozprawienia się z konkurencją, która będzie się domagać likwidacji kartelu, w tym wypadku zaś - wypłacenia należnych im pieniędzy.

Bank centralny

Stąd się wzięło dążenie bankierów do skartelizowania własnej działalności przy pomocy państwa i banku centralnego. Idea banków centralnych narodziła się wraz z założeniem Banku Anglii (Bank of England) w latach dziewięćdziesiątych siedemnastego wieku. Następnie rozszerzyła się na kraje Zachodu w osiemnastym i dziewiętnastym wieku i wreszcie, w postaci Systemu Rezerwy Federalnej, została w roku 1913 narzucona Stanom Zjednoczonym przez zwolenników karteli bankowych. Do pomysłu banku centralnego szczególnie entuzjastycznie byli nastawieni właściciele banków inwestycyjnych, na przykład Morganowie, którzy wystąpili z nim jako pierwsi i którzy rozszerzyli już w tym czasie swoją działalność o banki komercyjne.

Obecnie bank centralny ma monopol na emitowanie banknotów (pierwotnie pisemnych lub drukowanych pokwitowań magazynowych, a nie nieuchwytnych potwierdzeń depozytów bankowych). Są one identyczne z rządowymi pieniędzmi papierowymi i dlatego są „standardem” monetarnym kraju. Ludzie chcą używać zarówno gotówki, jak i depozytów bankowych. Jeśli więc chcę wycofać ze swojego konta w banku 1000 dolarów w gotówce, bank musi się zwrócić do

Rezerwy Federalnej i wypisać swój własny czek na 1000 dolarów, „kupując” w ten sposób 1000 dolarów w banknotach Rezerwy Federalnej (pieniądzach używanych dziś w USA). Rezerwa Federalna działa więc, innymi słowy, jak bank banków. Banki składają depozyty w Banku Rezerwy Federalnej i tworzą w ten sposób własną rezerwę, na której budują piramidę kredytów przewyższających dziesięciokrotnie ilość posiadanych pieniędzy.

Oto, jak działa proceder fałszerstwa w dzisiejszym świecie. Powiedzmy, że Rezerwa Federalna, jak zwykle zresztą, postanowi zwiększyć podaż pieniędzy (czyli wywołać inflację). Rezerwa Federalna kupuje więc jakieś aktywa na rynku (nazywanym „rynkiem otwartym”). Nie ma przy tym znaczenia, jakiego typu są to aktywa. Istotne jest, że wypisuje na nie czek. Bank Rezerwy Federalnej mógłby, gdyby chciał, kupować jakiegokolwiek aktywa, włącznie z akcjami przedsiębiorstw, budynkami, czy obcymi walutami. W praktyce jednak kupuje niemal wyłącznie papiery wartościowe rządu USA.

Przypuśćmy, że Bank Rezerwy Federalnej kupił, za pośrednictwem jakiegoś „upoważnionego” sprzedawcy papierów skarbowych (małej firmy), dajmy na to Shearsona czy Lehmana z Wall Street, obligacje skarbowe o wartości 10 milionów dolarów amerykańskich. Bank wypisuje czek na 10 milionów, a następnie wręcza Shearsonowi czy Lehmanowi w zamian za papiery rządowe warte 10 milionów. Skąd Bank Rezerwy Federalnej wziął 10 milionów na zapłacenie Shearsonowi, Lehmanowi? Z powietrza. Shearson, Lehman mogą z tym czekiem zrobić tylko jedno: złożyć jako depozyt w banku komercyjnym, powiedzmy w Chase Manhattan. „Podaż pieniądza” zwiększyła się w ten sposób o 10 milionów dolarów. Z niczyjego konta nie ubyło 10 milionów. Przybyło na czysto 10 milionów.

Ale to jest dopiero początek procederu fałszowania pieniędzy i wywoływania inflacji. Chase Manhattan z przyjemnością popędzi teraz do Banku Rezerwy Federalnej, by złożyć w nim ten czek na swoim koncie czekowym. Stan tego konta powiększy się o 10 milionów dolarów. Ale to konto stanowi „rezerwę” bankową, która w skali całego kraju została właśnie powiększona o 10 milionów dolarów. To z kolei oznacza, że Chase Manhattan może teraz wykreować depozyty w oparciu o tę rezerwę i że w miarę jak чеки i rezerwa będą spływać do innych banków (podobnie jak to było w przypadku Banku Rothbarda), każdy z nich będzie mógł dołożyć swoje inflacyjne ziarenko, aż w końcu cały system bankowy powiększy swoje depozyty na żądanie o 100 milionów dolarów, czyli

dziesięciokrotnie w stosunku do pierwotnej sumy, za którą Bank Rezerwy Federalnej kupił aktywa. Banki mają prawo utrzymywać rezerwę na poziomie co najmniej 10 procent swoich depozytów. Oznacza to, że „mnożnik pieniężny” - ilość depozytów, którą bank może wykreować w oparciu o tę rezerwę - wynosi 10. Zakup aktywów za 10 milionów, dokonany przez Bank Rezerwy Federalnej, wygenerował w krótkim czasie dziesięciokrotny wzrost (do 100 milionów) podaży pieniądza w całym systemie bankowym.

Co ciekawe, wszyscy ekonomiści są zgodni co do takiego opisu mechanizmów rządzących bankowością, nawet jeśli, rzecz jasna, nie zgadzają się co do ich moralnej lub ekonomicznej oceny. Niestety jednak większość ludzi, niewprowadzona w tajniki bankowości, nadal pozostaje w przekonaniu, że ich pieniądze są „w banku”.

Rezerwa Federalna i inne systemy banków centralnych pełnią więc rolę gigantycznego rządowego założyciela i egzekutora kartelu bankowego. Bank Rezerwy Federalnej wydobywa z kłopotów banki będące w potrzebie, centralizuje i koordynuje system w taki sposób, żeby wszystkie banki, i Chase Manhattan, i Rothbarda, i Rockwella, mogły razem wywoływać inflację. Na wolnym rynku bank, który by się rozrastał bardziej niż inne, byłby zagrożony bankructwem. Ale pod parasolem banku centralnego banki mogą rozszerzać swoją działalność wspólnie i proporcjonalnie.

„Ubezpieczenie depozytu”

Ale nawet przy wsparciu Banku Rezerwy Federalnej system bankowy oparty na rezerwie cząstkowej okazał się niestabilny. Dlatego też Nowy Ład w roku 1933 dodał nowe kłamstwo, które się nazywa „ubezpieczeniem depozytu bankowego”. Użycie dobrze brzmiącego terminu „ubezpieczenie” ma służyć zamaskowaniu wierutnego kłamstwa. Kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku system oszczędności i kredytów zawalił się, „ubezpieczenie depozytu” ze strony FSLIC (Federalnego Zakładu Ubezpieczeń Oszczędności i Kredytów) okazało się zwykłą fikcją, magicznym zaklęciem, pod którym krył się rząd federalny. A on nie mógł zapewnić żadnego ubezpieczenia. Biedni podatnicy uratowali w końcu oszczędności i kredyty, ale teraz jeszcze został FDIC (Federalny Zakład Ubezpieczeń Depozytów) dla banków komercyjnych. Również on zaczyna się chwiać w posadach, jako że posiada zaledwie 1 procent sumy depozytów, które „ubezpiecza”.

Cały pomysł „ubezpieczenia depozytu” jest jednym wielkim szwindlem. Jak można ubezpieczać instytucję, która jest ze swej natury niewypłacalna i która upadnie, gdy tylko do wszystkich dotrze, że opiera się na oszustwie? Wystarczy sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby jutro Amerykanie uświadomili sobie szwindel z bankami i wszyscy jednocześnie zażądali wypłacenia gotówki. Banki stałyby się natychmiast niewypłacalne, bo nie byłyby w stanie uzbierać więcej niż 10 procent pieniędzy, które są winne swoim otumanionym klientom. Nie do przyjęcia byłoby drastyczne podniesienie podatków, konieczne do pokrycia zobowiązań. Jediną rzeczą, którą mógłby zrobić Bank Rezerwy Federalnej, byłby dodruk pieniędzy w ilości wystarczającej do wypłacenia wszystkich depozytów. W obecnym stanie systemu bankowego prowadziłoby to, niestety, do natychmiastowego pogrążenia się w hiperinflacji.

Założmy, że całkowity ubezpieczony depozyt wynosi 1600 miliardów dolarów. W przypadku panicznego wycofywania oszczędności Bank Rezerwy Federalnej mógłby skorzystać ze swoich uprawnień do interwencji w nagłych przypadkach i wydrukować 1600 miliardów w gotówce, żeby je przekazać FDIC do wypłacenia posiadaczom kont. Kłopot polega na tym, że rozzuchwaleni tą olbrzymią subwencją ciułacze, natychmiast oddaliby te 1600 miliardów dolarów z powrotem w depozyt bankom. Rezerwy banków wzrosłyby w ten sposób o 1600 miliardów dolarów, umożliwiając zwiększenie podaży pieniądza o 16 bilionów dolarów. Nastęstwem byłaby lawinowa inflacja i upadek waluty.

* * * * *

Żeby uratować naszą gospodarkę i zapobiec horrorowi lawinowej inflacji, my, naród, musimy pozbawić rząd władzy nad podażą pieniądza. Pieniądze są zbyt ważne, by pozostawiać je w rękach bankierów, prominentnych ekonomistów i finansjery. Dla osiągnięcia tego celu, konieczne jest przywrócenie pieniądzom ich charakteru rynkowego, wraz z funkcjami jakie pełnią w strukturze prawa własności prywatnej i w gospodarce wolnorynkowej.

Mogłoby się zdawać, że mieszanie się rządu do spraw związanych z pieniądzem zaszło już tak daleko, jest tak wszechobecne w systemie gospodarczym i tak z nim nierozzerwalnie połączone, że pozbawienie rządu wpływów w tej dziedzinie zniszczy gospodarkę. Konserwatyści mówią zwykle, że dokonuje się „strasznych uproszczeń”, wysuwając prostackie i niewykonalne programy, które mogą tylko wszystko zniszczyć. Tymczasem, głównym problemem jest to, że elity rządzące,

technokraci i intelektualiści posługują się mistyfikacją, gdy na głosy domagające się cięć podatkowych i deregulacji odpowiadają sarkastycznymi uwagami o tępym masach, które „szukają prostych recept na skomplikowane problemy”. W większości przypadków rozwiązania są jednak rzeczywiście jasne i proste, tylko że celowo je zaciemniają ludzie, posługujący się teoriami, które moglibyśmy nazwać „straszonym komplikowaniem”. Odzyskanie naszych pieniędzy byłoby zabiegiem stosunkowo prostym i o wiele łatwiejszym niż beznadziejne zadanie denacjonalizacji i dekomunizacji krajów Europy Wschodniej i byłego Związku Radzieckiego.

Nasz cel można przedstawić krótko jako prywatyzację systemu monetarnego i oddzielenie rządu od pieniędzy i banków. Zasadniczy środek do osiągnięcia tego celu jest również prosty. Polegałby on na likwidacji Systemu Rezerwy Federalnej, zniesieniu banku centralnego. Jak można by znieść System Rezerwy Federalnej? Bardzo łatwo: uchylając ustawę, którą został on powołany do życia, tzn. Ustawę o Rezerwie Federalnej z roku 1913. Zobowiązania Rezerwy Federalnej (banknoty i depozyty) miały pierwotnie pokrycie w złocie. Z powodu fatalnych decyzji Franklina Roosevelta w roku 1933 „dolary” emitowane przez Rezerwę Federalną i potwierdzenia depozytów, wystawiane przez nią oraz przez banki jej podległe, przestały mieć pokrycie w złocie. Depozyty bankowe mają pokrycie w wekslach Rezerwy Federalnej, a te nie mają pokrycia w niczym, albo mają, ale tylko w innych wekslach Rezerwy Federalnej. Niemniej jednak, banknoty te są naszymi pieniędzmi, naszym „standardem” monetarnym i wszyscy wierzyciele mają obowiązek przyjmować zapłatę w tym pustym pieniądzu, mimo że jest on bezwartościowy.

Oprócz zniesienia wymienialności dolara na złoto, Roosevelt dopuścił się w roku 1933 jeszcze jednego przestępstwa: skonfiskował całe złoto i kruszec w sztabach należący do obywateli i wymienił je na „dolary” według arbitralnie ustalonego kursu. Zastanawiające jest, że chociaż Bank Rezerwy Federalnej i rząd utrzymują, iż złoto jako materiał na pieniądź jest przestarzałe i bezwartościowe, to jednocześnie tenże bank (oraz wszystkie inne banki centralne) oddałyby życie za swoje złoto. Nasze skonfiskowane złoto nadal jest w posiadaniu Rezerwy Federalnej, która przechowuje je jako depozyt w skarbcu w Fort Knox i w innych magazynach. Od roku 1933 do połowy lat siedemdziesiątych posiadanie złota w formie monet czy sztabek było wręcz nielegalne, nawet jeśli przechowywano je w domowych sejfach czy za granicą. Wszystkie te środki, które podjęto ponoć w

związku z kryzysem lat trzydziestych, były następnie przyjęte i rozwijane przez politykę Nowego Ładu. Przez czterdzieści lat całe złoto w Ameryce, które trafiało w prywatne ręce, musiało być deponowane w banku, który następnie deponował je w Banku Rezerwy Federalnej. Złoto na „usprawiedliwione” cele niemonetarne, takie jak plomby dentystyczne czy wiertła używane w przemyśle, było skrupulatnie wydzielane przez Departament Skarbu.

Na szczęście, dzięki heroicznym zabiegom kongresmena Rona Paula, teraz Amerykanie znów mogą posiadać złoto, zarówno w monetach jak i w sztabkach. Ale bezprawnie zajęte i skonfiskowane przez Bank Rezerwy Federalnej złoto pozostaje nadal w rękach Rezerwy Federalnej. Jak je stamtąd wydostać? Jak sprywatyzować federalne zapasy złota?

Prywatyzacja federalnego złota

Odpowiedź na to pytanie wynika z faktu, że Bank Rezerwy Federalnej, który przyrzekł wypłacanie swoich zobowiązań w złocie, od czasu zniesienia standardu złota przez Roosevelta w roku 1933, przestał spełniać tę obietnicę. System Rezerwy Federalnej, jako zalegający z wypłatą swoich zobowiązań, powinien być postawiony w stan upadłości. Jego likwidacja powinna przebiegać podobnie do procesu upadłościowego każdej innej firmy: należące do niego aktywa należałoby rozdzielić pomiędzy wierzycieli i wypłacić im w ratach. Według zestawienia z 30 października 1991 aktywa Rezerwy Federalnej w złocie wynosiły 11,1 miliarda dolarów. Zobowiązania Rezerwy na ten dzień to 295,5 miliarda dolarów w banknotach Rezerwy Federalnej znajdujących się w obiegu oraz 24,4 miliarda dolarów depozytów, które powinna ona zwrócić bankom należącym do Systemu Rezerwy Federalnej. W sumie zobowiązania wynoszą więc 319,9 miliarda dolarów. Poza złotem, większość aktywów Banku Rezerwy Federalnej stanowią papiery dłużne rządu USA opiewające na sumę 262,5 miliarda dolarów. Trzeba je jak najszybciej spisać na straty, ponieważ stanowią nie tylko rachunkową fikcję, lecz są powodem tego, że podatnicy muszą spłacać raty i odsetki od długu zaciągniętego przez rząd federalny u własnego tworu, jakim jest Rezerwa Federalna. Pozostałą istotną część aktywów stanowią papiery skarbowe - 21 miliardów dolarów, które też trzeba spisać na straty oraz 10 miliardów w SDR-ach (specjalnych prawach ciągnięcia), które są papierowymi wytworami zagranicznych banków centralnych i o których również można zapomnieć. Zostaje nam więc (nie licząc różnych nieruchomości, wyposażenia i innych

aktywów należących do Banku Rezerwy Federalnej o wartości szacowanej na około 35 miliardów dolarów) 11,1 miliarda na spłcenie wierzytelności, których wartość sięga 319,9 miliarda dolarów.

Na szczęście sytuacja nie jest aż tak tragiczną, jak mogłoby się zdawać. Suma 11,1 miliarda dolarów, podawana jako wartość złota w magazynach Banku Rezerwy Federalnej, jest szacunkiem zmyślonym. Obnaża to zresztą jeden z najdziwniejszych aspektów naszego oszukańczego systemu monetarnego. Federalne zapasy złota to 262,9 milionów uncji złota. Ich wycena na 11,1 miliarda dolarów wynika z przyjęcia ceny 42,22 dolara za uncję. Tak wycenia swoje złoto rząd, chociaż cena rynkowa waha się na poziomie 350 dolarów za uncję. Już samo to wskazuje na jawną anomalię systemu.

Definicje i deprecjacja

Skąd się wzięła cena 42,22 dolarów za uncję? Istotą standardu złota jest to, że jednostka monetarna („dolar”, „frank”, „marka” itd.) jest zdefiniowana, jako określona wagowo ilość złota. W standardzie złota dolar czy frank nie jest samodzielny przedmiot, samą nazwą, czy nazwą papierka wyemitowanego przez bank państwowy lub centralny. Jest on nazwą jednostki wagowej złota. Jest dokładnie taką samą jednostką wagową, jak będące w powszechnym użyciu „uncje”, „grany” (0,0648g) czy „gramy”. Przez sto lat, aż do roku 1933, dolar był definiowany jako równowartość 23,22 grana złota. Ponieważ uncja zawiera 480 granów, to dolar definiowano też jako 0,048 uncji złota. Mówiąc jeszcze inaczej, uncja złota była warta 20,67 dolara.

Nowy Ład Franklina Roosevelta, oprócz tego, że pozbawił nas standardu złota na rynku wewnętrznym, zdevaluował również dolara, określając jego wartość lub „obniżając jego wagę” do 13,714 granów złota, czyli wyceniając uncję złota na 35 dolarów. Dolar był wciąż wymienialny na złoto w rozliczeniach z zagranicznymi bankami centralnymi i rządami innych krajów, przy przeliczniku 35 dolarów za uncję. Stany Zjednoczone stosowały więc hybrydalny standard złota w rozliczeniach międzynarodowych aż do sierpnia 1971 roku, kiedy to prezydent Nixon dokończył dzieła, całkowicie likwidując standard złota. Od roku 1971 Stany Zjednoczone posługują się standardem pustego pieniądza papierowego. Nie przypadkiem od tego czasu krótsze są okresy pokoju. Od roku 1971 dolar nie jest już związany z określoną ilością wagową złota, jest towarem

od złota niezależnym i jego wartość na rynkach światowych może się dowolnie zmieniać.

Gdy dolar i złoto stały się od siebie niezależne, mogliśmy, jak w laboratorium, zaobserwować zachowania ludzi. Wszyscy uznani ekonomiści - od keynesistów do monetarystów chicagowskich - utrzymywali, że złoto dawno już utraciło swoją wartość jako pieniądz, że wysoką cenę 35 dolarów za uncję osiągnęło tylko dzięki temu, że była ona „ustalona” przez rząd. Według tych opinii, to dolar przydawał wartości złota a nie odwrotnie i skoro dolar został oderwany od złota, to wkrótce da się zaobserwować spadek cen złota, aż do jego wartości niemonetarnej (czyli jako surowca jubilerskiego, dentystycznego itd.) na poziomie około 6 dolarów za uncję. W opozycji do tych jednomyślnych prognoz prominentnych ekonomistów pozostawali zwolennicy Ludwiga von Misesa i inni „fanatycy złota”, którzy twierdzili, że złoto, z ceną 35 zdevaluowanych dolarów za uncję, było niedowartościowane i przewidywali, że jego cena znacznie wzrośnie, być może nawet do 70 dolarów.

Wystarczy powiedzieć, że cena złota nie spadła nigdy poniżej 35 dolarów, tylko podskoczyła, osiągając w pewnym momencie nawet 850 dolarów za uncję i ustabilizowała się w ostatnich latach na poziomie około 350 dolarów. Mimo to jednak Departament Skarbu i Bank Rezerwy Federalnej upierają się przy wycenie swoich zasobów, wprawdzie nie według starego kursu 35 dolarów za uncję, ale według niewiele bardziej aktualnego kursu 42,22 dolara za uncję. Inaczej mówiąc, gdyby tylko rząd USA wprowadził prostą korektę, jakiej wymagają reguły poprawnej rachunkowości i uaktualnił wycenę swoich aktywów zgodnie z ich wartością rynkową, to wycena zapasów federalnego złota skoczyłaby z 11,1 miliarda do 92 miliardów dolarów.

W latach 1933 - 1971, początkowo duża, ale z czasem kurcząca się liczba ekonomistów broniących standardu złota, optowała najczęściej za powrotem do ceny 35 dolarów za uncję. Mises wraz ze swoimi zwolennikami opowiadał się za wyższą „ceną” złota, biorąc pod uwagę, że kurs 35 dolarów nie przystawał już do realiów amerykańskich. Większość jednak wskazywała, że wycena czy definicja, która została raz przyjęta, musi być odtąd stosowana bez zmian. Ale po roku 1971, gdy poległa święta niegdyś cena 35 dolarów za uncję, wszystkie ustalenia stały się nieważne. Chociaż raz przyjęte definicje powinny obowiązywać na zawsze, to nie ma powodu, żeby wstępną definicję uważać za świętą. Zamiast tego należy ją wybrać, kierując się kryterium użyteczności. Jeśli chcemy

przywrócić standard złota, to możemy się posłużyć taką definicją dolara, jaką uznamy za najwygodniejszą. Nie mamy żadnego obowiązku trzymać się nieaktualnych kursów 20,67 czy 35 dolarów za uncję.

Likwidacja Banku Rezerwy Federalnej

W szczególności, gdybyśmy chcieli zlikwidować System Rezerwy Federalnej, moglibyśmy wybrać taką definicję dolara, która pozwoliłaby na spłacenie wszystkich długów Rezerwy co do centa. W przykładzie, który podaliśmy wyżej, można by zdefiniować „dolara” jako równowartość 0,394 grana złota, albo 1 uncję złota jako wartą 1217 dolarów. W oparciu o taką nową definicję, cały zapas złota należący do Rezerwy Federalnej można by przeznaczyć na produkcję złotych monet, które by posłużyły do zastąpienia znajdujących się w obiegu banknotów Rezerwy Federalnej i do utworzenia rezerwy 24,4 miliarda dolarów w złotych monetach w różnych bankach komercyjnych. System Rezerwy Federalnej zostałby zniesiony, złote monety weszłyby do obiegu, zastępując banknoty Rezerwy Federalnej, złoto stałoby się środkiem wymiany, a złote dolary po kursie 1217 za uncję - jednostką używaną w rozliczeniach i bilansach. Za jednym zamachem zrealizowane by zostały dwa wielkie postulaty: powrotu do standardu złota i likwidacji Rezerwy Federalnej.

Następnym krokiem byłoby oczywiście zniesienie Federalnego Zakładu Ubezpieczenia Depozytów. Samo pojęcie „ubezpieczenia depozytów” jest oszukańcze. Jak można „ubezpieczyć” całą gałąź gospodarki, która jest z natury niewypłacalna? To tak, jakby ubezpieczać Titanica po tym, jak uderzył w górę lodową. Niektórzy ekonomiści wolnorynkowi opowiadają się za „prywatyzacją” ubezpieczeń depozytów poprzez zachęcenie prywatnych firm lub samych banków do wzajemnego „ubezpieczania” swoich depozytów. To by jednak oznaczało powrót do niesławnych praktyk karteli banków florenckich, które usiłowały wzajemnie pokrywać swoje zobowiązania. To nic nie da. Nie zapominajmy, że jako pierwsze upadły ubezpieczenia oszczędności i kredytów w Ohio i Maryland, korzystające z wątpliwych korzyści, jakie miało dać „prywatne” ubezpieczenie depozytów.

Ten przypadek pokazuje, na czym polega błąd, który często popełniają libertarianie i ekonomiści wolnorynkowi gdy twierdzą, że wszystkie działania rządu powinny być sprywatyzowane, to znaczy uważają, że każda działalność, jeśli tylko jest prywatna, to jest uprawniona. To nieprawda. Takie działania jak

oszustwo, defraudacja, fałszerstwo nie powinny być „prywatyzowane”, tylko zarzucone.

Wciąż pozostawałby jeszcze problem częściowej rezerwy dla banków komercyjnych. Dawniej opowiadałem się za powrotem do bankowości opartej na uczciwej stuprocentowej rezerwie. Byłoby to możliwe przy takim podniesieniu ceny złota, żeby jego rezerwy pokrywały 100 procent zobowiązań banków. Później, oczywiście, stuprocentowa rezerwa byłaby wymagana przez prawo. Według bieżących szacunków, ustanowienie stuprocentowej rezerwy dla wszystkich wkładów bankowych na żądanie, prowadzonych w bankach komercyjnych, wymagałoby podniesienia ceny złota do 2000 dolarów za uncję. Uwzględnienie wartości wszystkich lokat oznaczałoby konieczność podniesienia ceny do 3350 dolarów za uncję. Gdyby stuprocentowa rezerwa była wymagana również dla rachunków bieżących i oszczędnościowych (które są również uważane za płatne na żądanie), to cena złota musiałaby wynosić 7500 dolarów za uncję.

Takie rozwiązanie ma jednak pewne wady. Mniejsza o to, że im wyższa byłaby cena złota w stosunku do jego obecnej ceny rynkowej, tym bardziej by się zwiększyła jego produkcja. Wzrost wydobycia złota spowodowałby wprowadzenie niewielką jednorazową inflację, ale poważniejszym problemem byłoby zagadnienie moralne: czy banki zasługują na to, by wręczyć im w ten sposób podarunek w postaci złota od Rezerwy Federalnej na stuprocentowe pokrycie zobowiązań? Banki zdecydowanie nie zasługują na taki gest, nawet jeśli miałyby to ułatwić operację powrotu do zdrowego pieniądza. Bankierom powinno wystarczyć to, że nie zostaną pozwani do sądu za defraudację. Ponadto trudności nastroczałoby administracyjne narzucenie i egzekwowanie stuprocentowej rezerwy. Metodą łatwiejszą i utrzymaną w bardziej libertariańskim duchu byłoby odwołanie się do sądów. Przed wojną secesyjną zawodowi „brokerzy finansowi” skupowali po okazjnych cenach banknoty emitowane przez niesolidne banki utrzymujące częściowe rezerwy, a następnie udawali się do siedzib tych banków i żądali wypłacenia nominalnej wartości banknotów w złocie.

Dzisiaj, posługując się zaawansowaną technologią elektroniczną, to samo można by zrobić jeszcze skuteczniej. Profesjonalni brokerzy finansowi zarabialiby na przywoływaniu niesolidnych banków do porządku. Bardzo mi się podoba pomysł Ligi Czujności Antybankowej, żeby bacznie obserwować poczynania banków i wychwytywać każdą ich nieuczciwość, a następnie nagłaśniać sprawę w telewizji,

zachęcając klientów danego banku, by żądali natychmiastowych wypłat gotówki. Gdyby Lidze udało się wzniecić histerię i spowodować, żeby posiadacze kont i certyfikatów depozytowych przypuścili szturm na banki, chcąc wycofać swoje pieniądze zanim ich bank upadnie, to tym lepiej. Wówczas bowiem sami ludzie, a nie tylko rząd, zwróciliby się przeciwko bankom praktykującym zasadę rezerwy cząstkowej. Niezwykle istotna byłaby natychmiastowa reakcja ze strony policji i wymiaru sprawiedliwości na pierwszy sygnał niewypłacalności banku. Jeśli tylko bank nie byłby w stanie dokonać wypłaty na żądanie, otrzymywałby zakaz dalszej działalności. Działyłaby błyskawiczna, bezwarunkowa sprawiedliwość, nie byłoby żadnej litości, ani żadnych kaucji.

Taki rygor w krótkim czasie doprowadziłby banki albo do upadku, albo do ograniczenia emisji zaświadczeń i certyfikatów depozytowych, tak by osiągnąć stuprocentowe pokrycie w rezerwie. Taka deflacja monetarna, której celem byłyby wszechstronne ulepszenia, miałyby charakter przejściowy i ustałaby na dobre w momencie, gdy wszystkie zobowiązania banków zmniejszyłyby się do wartości posiadanych przez nie aktywów w złocie. Zasadnicza różnica między inflacją a deflacją polega na tym, że inflacja może rosnać w nieskończoność wraz ze wzrostem podaży pieniądza i cen, podczas gdy zmniejszanie podaży pieniądza musi się zatrzymać w momencie, gdy całkowita ilość pieniądza odpowiada podaży standardowej waluty (w standardzie złota - podaży złotych pieniędzy). Złoto stanowi twardy grunt, na którym deflacja się zatrzymuje.

Jeśli ten pomysł wydaje się zbyt okrutny dla banków, to trzeba sobie zdać sprawę, że system bankowy i tak zmierza do katastrofy. Przy okazji upadku ubezpieczeń oszczędności i kredytów, uswiadomiono sobie, jak bardzo jest on niestabilny. Ludzie mówią otwarcie o tym, że Federalny Zakład Ubezpieczeń Depozytów jest niewypłacalny i że cała bankowość zmierza do upadku. Jeśli poczują to na własnej skórze, to rozpoczną masowy „run na banki”, usiłując wybrać z banków swoje pieniądze. Banki będą wtedy upadać jeden po drugim, bo nie będą miały pieniędzy, które są ludziom winne. Jedynym ratunkiem dla banków będzie wówczas dodruk 1,6 biliona dolarów przez Rezerwę Federalną i dostarczenie ich bankom. Wywoła to natychmiastową i siejącą spustoszenie, lawinową inflację oraz upadek dolara.

Odpowiedzialnością za obecny kryzys gospodarczy liberałowie chętnie obarczają „chciwość lat osiemdziesiątych XX wieku”. A przecież „chciwość” nie była wtedy większa niż w latach siedemdziesiątych i w poprzednich dekadach, ani niż będzie

w przyszłości. W latach osiemdziesiątych miał miejsce niebezpieczny epizod deficytu budżetowego i ekspansji kredytowej banków pobudzanej przez Rezerwę Federalną. Gdy Bank Rezerwy Federalnej zakupił aktywa i wpompował rezerwy do systemu bankowego, banki z radością pomnożyły kredyt i w oparciu o te rezerwy wykreowały nowe pieniądze.

Wiele się mówiło o złych kredytach udzielanych przez banki, o pożyczkach dla zbankrutowanych krajów Trzeciego Świata, o rozdętych i ryzykownych - jak się okazało z perspektywy czasu - programach kredytowych na rynku nieruchomości i inwestowaniu w centra handlowe gdzieś na końcu świata. Jednakże złe kredyty i nietrafne inwestycje są zawsze wynikiem ekspansji kredytowej banku centralnego i kredytowania banków. Dobrze znane zjawisko cyklu koniunkturalnego, występujących na przemian okresów euforii i załamania, dobrobytu i kryzysu, nie pojawiło się w latach osiemdziesiątych. Nie jest też produktem cywilizacji ani gospodarki rynkowej. Cykle gospodarcze pojawiły się w osiemnastym wieku, wraz z powstaniem pierwszych banków centralnych. Upowszechniały się i nasilały równoległe z rozwojem bankowości centralnej i przejmowaniem przez nią kontroli nad systemem gospodarczym Zachodu. Tylko likwidacja Systemu Rezerwy Federalnej i powrót do standardu złota mogą przerwać cykliczne występowanie faz wzrostu i kryzysu i ostatecznie wyeliminować stale rosnącą inflację.

Nie jest prawdą, głoszone przez posłusznych rządowi historyków twierdzenie, że inflacja, ekspansja kredytowa, cykle gospodarcze, zadłużenie budżetu i wysokie podatki są nieodłącznymi atrybutami kapitalizmu czy „nowoczesności”. Wręcz przeciwnie, są to z gruntu antykapitalistyczne, pasożytnicze narośle, zaszczerpione na systemie przez interwencjonistyczne państwo, które nagradza swoich bankierów i zaufanych klientów specjalnymi cichymi przywilejami. A płacą za nie wszyscy pozostali.

Dla wolnej przedsiębiorczości i kapitalizmu podstawowe znaczenie ma system niewzruszonych praw prywatnej własności, gwarantujący każdemu ochronę uczciwie nabytej własności. Równie istotne są zasady etyki, które powinny wspierać i nagradzać oszczędność, gospodarność, ciężką pracę i efektywną przedsiębiorczość, a zniechęcać do rozrzutności oraz potępiać z całą surowością każde naruszenie praw własności. Tymczasem, jak widzieliśmy, tandetny pieniądz i ekspansja kredytowa deprecjonują te prawa i cnoty. Inflacja powoduje

wywrócenie do góry nogami i przewartościowanie wartości, wynagradzając rozrzutność i dobre układy, a naigrawając się ze starych „wiktoriańskich” cnót.

Odbudowa Starej Republiki

Odbudowa amerykańskiej wolności i przywrócenie Starej Republiki jest zadaniem wielopłaszczyznowym. Oznacza wycięcie raka monstrualnego państwa, który toczy nas od środka. Oznacza likwidację Washington DC, jako centrum rządzenia krajem. Oznacza powrót do moralności i cnót dziewiętnastowiecznych, odwrót naszej kultury od nihilizmu i wiktyologii oraz przywrócenie jej zdrowia i równowagi. Polityka, kultura i gospodarka są w dłuższej perspektywie nierozdzielnie ze sobą związane. Do odbudowy Starej Republiki niezbędny jest system gospodarczy oparty na nienaruszalnym prawie własności prywatnej, na prawie każdego człowieka do posiadania nabytej własności i do wymiany produktów swojej pracy. Żeby to osiągnąć, musimy mieć pieniądze, których dostarczy wolny rynek, pieniądze złote a nie papierowe, pieniądze, których jednostką będzie określona wagowo ilość złota, a nie nazwa papierka wyemitowanego przez rząd kierujący się swoim widzimisię. Inwestycje muszą być uzależnione od prywatnych oszczędności, a nie od fałszywych pieniędzy emitowanych przez nikczemny, uprzywilejowany przez państwo system bankowy. Krótko mówiąc, musimy się pozbyć banku centralnego i wymusić na bankach skrupulatne wypełnianie zobowiązań, na równi z innymi podmiotami. Sprawy dotyczące pieniędzy i banków przedstawiane są jako tajemnicze procesy, którymi kierować może tylko elita technokratyczna. Nic podobnego. Złośliwy czarodziej z krainy Oz wykiwał nas w sprawie pieniędzy w jeszcze większym stopniu niż w pozostałych dziedzinach życia. I podobnie jak w innych sprawach, tak również w kwestii pieniędzy, przywrócenie zdrowego rozsądku i Starej Republiki idą ze sobą w parze.